

The background of the cover is a painting of a mountain landscape. In the foreground, there is a dense forest of evergreen trees. A body of water, likely a lake or a wide river, reflects the surrounding mountains and sky. The mountains in the background are rugged and partially covered in snow or light-colored rock. The overall style is that of a traditional landscape painting.

Legendy Polskich Gór

„WAGABUNDA 2004”

Szkoła Podstawowa Nr 130 w Łodzi

Jan 2002

Legenda Bieszczadzka

Bies i Czady

Bardzo dawno temu, kiedy kraina gór, lasów i połonin była bezludna i dziewicza, panował na niej Zły-Bies. Z postaci był podobny do człowieka, choć większy i rogaty. U ramion miał wielkie nietoperzowe skrzydła. Zły był zazdrosny o swoją ziemię i nie chciał z nikim się nią dzielić. Jako absolutny władca nie pozwalał dłużej się zatrzymywać w tych górach ani pasterzom, ani kupcom. Pewnego razu przywędrowało tu z daleka plemię, któremu przewodził młody, silny i mądry San. Dzika kraina spodobała się przybyszom. Postanowili osiąść tu na stałe. Zbudowali chaty i założyli wieś nad największą rzeką. Nie mógł znieść Bies, że zakwitło życie w jego dotychczas bezludnym królestwie - rozgniewany, przeszkadzał przybyszom, jak tylko mógł. Tam, gdzie wykarczowali drzewa, sadił nowe, do zagród z owcami wpuszczał wilki, na poletka napędzał dzikie zwierzęta, aby tratowały zbiory. Ludzie zaczęli narzekać, ale San urzeczony pięknem tej krainy, tak ją pokochał, że postanowił wytrwać i innych zachęcał, by nie uciekali porzucając domy i dobytek. Bies, gdy przekonał się, że nie może tych twardych ludzi pokonać w pojedynkę, stworzył sobie pomocników - Czadów. Wyczarował ich tyle, ile starych drzew w lesie. Były to pokraczne ludziki, ruchliwe, psotne i wesołe - szkodziły ludziom, ile tylko mogły. Na rozkaz Biesa ze złośliwą uciechą rozganiały pasące się na połoninach bydło, tańczyły w zbożu niszcząc wszystko, co było zasiane ludzką ręką. Straszły dzieci w kotłuskach, budziły ludzi spoczywających po ciężkim dniu pracy, dosypywały gospodyniom piasku do zupy, chowały drwalom siekiery. Złośliwe były i przebiegłe, wyliczanie ich "sprawek" mogłoby jeszcze trwać. Życie plemienia stało się jeszcze cięższe. San poprzysiągł, że pokona złe siły.

Pewnego dnia, kiedy w lesie pracował dłużej niż najsilniejsi drwale, po ścięciu starego buka usłyszał krzyk, a potem cichutkie jęki i skargę wydobywającą się spod ciężkiego pnia. Gdy San pochylił się, zauważył pokracznego Czada przywalonego drzewem, proszącego o darowanie życia. Dobry San uwolnił Czada. Wdzięczny za ocalenie duszek wyznał, że on i jego bracia nie lubią czynić zła, ale są do tego zmuszani przez Biesa. Teraz, kiedy przekonał się o wspaniałości ludzi, postanowił nie tylko im nie szkodzić, ale pomagać. Obiecał, że jako najstarszy w rodzie namówi do tego swych braci. Odtąd te małe stworzenia polubiły ludzi i pomagały im, jak tylko umiały. Pilnowały i zabawiały swymi psikusami dzieci, chroniły domy, pokazywały drogę w lesie, rozśmieszały nawet najbardziej nieszczęśliwych, rąbały drzewo do pieca. Ludzie odwdzięczali im się miseczką mleka i dobrym słowem.

Sielanka nie trwała długo, bo wnet dowiedział się o sprzeniewierzeniu swych pomocników pan tej ziemi - Zły Bies. Zwołał wszystkie Czady i zapowiedział, że albo będą trzymały z nim, albo je unicestwi tak samo jak je stworzył. Przerażone Czady przybiegły do Sana - chciały żyć, a nie chciały szkodzić ludziom. Podczas długiej narady najstarszych i najmądrzejszych członków plemienia Czady podały sposób, jeden jedyny, przy pomocy którego można zwyciężyć Złego. Pokonać go może najsilniejszy z ludzi i tylko o świcie, kiedy Bies odpina czarodziejskie skrzydła i pozbawiony czarodziejskiej mocy kapie się w najpłytszym miejscu najszerszej rzeki tej ziemi. Bez skrzydeł nie może czynić czarów, ale i tak jest ponadludzko silny. San przemyślał radę Czadów i wezwał Biesa na pojedynek o poranku, kiedy czarodziejskie skrzydła leżały na brzegu rzeki. Bies roześmiewszy się złośliwie na widok człowieka z toporem stojącego mu naprzeciw, nie próbując nawet sięgać po nietoperzowe skrzydła, ruszył do walki. San i Bies zmagali się od świtu do zmroku. Człowiek stał coraz bardziej, a Bies zdawał się nie czuć zmęczenia. Na brzegu walkę śledziło całe plemię i wszystkie Czady.

Kiedy Bies zrozumiał, że znalazł godnego sobie przeciwnika i przerażony myślą, że może przegrać, spróbował schwycić i przypiąć magiczne skrzydła. Wtedy to stary Czad, odwdzięczając się Sanowi za uratowanie życia, wrzucił je do rzeki. W tym momencie San walczył już ostatkiem sił. Dziwny czar tkwił w diabelskich skrzydłach, rzeka zyskała całą moc Biesa. Woda nagle wzburzyła się i zmętniała. Wartki, pienisty nurt porwał obu przeciwników.

Zatonął w rozszalanej rzece Bies, który nie umiał pływać, ale i nie uratował się, osłabiony walką, San. Gdy następnego dnia wody opadły, na dnie rzeki ludzie znaleźli splecione ze sobą w śmiertelnym uścisku dwie postacie. Oddając hołd odwadze i waleczności swego wodza, osadnicy nazwali jego imieniem wielką rzekę. I w ten sposób pozostał - tak jak tego pragnął - dzielny San na ziemi, którą pokochał. Góry, przez które przepływa ta rzeka, nazwali Bies-Czadami, od imienia ich złego władcy i psotnych duszków.

Podobno Czady można spotkać tu i dzisiaj, ale że i starych drzew, w których dziuplach mieszkają, jest już mniej, to i duszki te spotyka się rzadziej. Czady czuwają nad pięknem tej polskiej

krainy. Na wędrowców rzucają słodki czar, który sprawia, że nie można zapomnieć jej uroku. Dlatego też w Bieszczady przyjeżdża się tylko raz, potem się tylko wraca.

Legenda Sudecka

Jak rozgniewany Liczyrzepa stworzył Błędne Skały

Bardzo dawno temu, w miejscu dzisiejszego labiryntu skalnego, nazywanego Błędnymi Skałami, wznosiła się potężna, lita góra, zbudowana z piaskowca. Wyróżniała się ze swojego otoczenia wielkością i masywnością, toteż miejscowi obrali ją sobie na miejsce modlitw i ofiar dla ówczesnych, pogańskich bożków.

Schodzili się tu ludzie z wszystkich okolicznych wsi: z Czermej, Lewina, Radkowa, Nachodu i Polic, aby czcić swych bogów i prosić o pieczę nad rodzinami, domostwami i trzodą.

Pewnego, wiosennego popołudnia, kiedy już łąki przykryła świeża, soczysta trawa, a ze szczytów górskich zniknęła pokrywa śnieżna, tubylcy zebrali się na górze, by złożyć ofiary bóstwom pól i łąk oraz prosić ich o dobre plony i ochronę nad zwierzyną. W pewnej chwili, kiedy kapłan miał już złożyć ofiarę z młodego koźlęcia, a świeże zioła paliły się na ofiarnym kamieniu, zjawił się Duch Gór. Ofiarodawcy nie rozpoznali w pierwszym momencie Liczyrzepy i porosili przybysza o ukłęknięcie i oddanie czci bogom.

Mężczyzna podszedł do ludzi, ale nie padł na kolana. Kapłan, który rozpoznał Liczyrzepę, zadrwił z niego i lekceważąco odparł, że lud nie odda mu czci, ponieważ nie wierzą już w jego moc, a ich bóstwa są mocniejsze i zapewnią im lepszą pieczę.

Po tych słowach i po tym jak inni poparli duchownego, Liczyrzepa wpadł w szał i rozpętał na szczycie prawdziwą burzę. Góra zatrzęsała się, skały zaczęły pękać, rozwarły się liczne szczeliny, a pyły przysłoniły niebo. Przerażeni ludzie starali się ukryć przed wałącymi głazami, część z nich powpadała do nowopowstałych szczelin.

Gdy niebo i ziemia uspokoiły się, oczom ludzi ukazał się nowy widok. Wyrównana dotychczas powierzchnia góry przekształciła się w bezładne rumowisko bloków skalnych, porozdzielanych licznymi szczelinami. Obdarci i poranieni ludzie wydostali się na otwartą przestrzeń. Niestety nie wszyscy zdołali się uwolnić z wąskich szczelin górskich i na zawsze pozostali pogrzebani pod zwałami skał. Wieść o tym wydarzeniu szybko rozniosła się po okolicy i dlatego przez bardzo długi czas unikano tego miejsca, a imię Liczyrzepy wypowiadano z czcią i bojaźnią.

Po wielu latach, kilku okolicznych śmiałków postanowiło zbadać szczyt góry. Nie bacząc na przestrogi i groźby weszli do labiryntu. Widoki jakie tam oglądali zapierały im dech w piersiach. Z jednej strony roztaczała się panorama Sudetów, aż po Śnieżkę, pod którą mieszka sam Liczyrzepa, z drugiej zaś - krajobraz rumowiska, wśród którego można było wyróżnić różne głazy, swymi kształtami przypominające rozmaite budowle i stwory. Śmiałkowie postanowili dokładnie spenetrować labirynt. Z trudem przeciskali się między głazami, przezornie znacząc drogę. Młodzi z przerażeniem oglądali kryjówki wilków i wilcze szczenięta, co spowodowało, że miejsce to jeszcze do niedawna nazywano Wilczymi Dołami.

Po długim marszu z radością ujrzeli otwartą przestrzeń. Dziś Błędne Skały udostępnione są turystom. Podążając zatem szlakiem wytyczonym przez pierwszych śmiałków możemy podziwiać skutki liczyrzepowego gniewu.

Legenda Świętokrzyska

O Zbójku Madeju

Dawno temu, kiedy w świętokrzyskich lasach grasowały bandy zbójów, pewien zamożny kupiec wracał z Krakowa naładowanym po brzegi wozem.

Była ciemna noc i kupiec zabłądził w puszczy, a na dodatek ciężki wóz ugrzązł w błocie. W leśnej głuszy nie spodziewał się od nikogo pomocy. Wtem zjawiła się przed nim tajemnicza postać. Nieznajomy obiecał, że pomoże kupcowi dostać się na drogę, pod warunkiem, iż za przysługę otrzyma coś, co kupiec ma w domu, a o czym nie wie.

Kiedy nieznajomy kazał podpisać umowę krwią, domyślił się, że ma do czynienia z diabłem. Po przybyciu do domu dowiedział się, że żona urodziła syna. Jego to nieświadomie obiecał diabłu. Mijały

lata, chłopiec rósł, był dobry i mądry. Pewnego dnia, zrozpaczony ojciec wyznał swoją ponurą tajemnicę. Chłopiec przyrzekł, że pójdzie do piekła i odbierze diabelską umowę.

Młodzieniec żegnany łzami matki i błogostawieństwem ojca, wyruszył w drogę. Minał Święty Krzyż i wszedł do mrocznej, nieprzebytej puszczy. Nadchodziła burza, postanowił więc szukać schronienia. W jaskini, do której wszedł zastał starą kobietę.

Z przerażeniem usłyszał, że jest ona matką złotwora Madeja. Ten straszny człowiek nie darował nikomu życia, zabił nawet własnego ojca. Kobieta zlitowała się nad wędrowcem i ukryła go w jaskini. Wkrótce nadszedł Madej. Już chciał roztrzaskać głowę nieproszonego gościa, ale matka podała mu strawę. Ostatecznie rozbójnik, usłyszawszy opowiadanie chłopca, darował mu życie, pod warunkiem, że dowie się w piekle, jaką karę dla niego gotują. Na drodze powrotnej syn kupca miał to wszystko opowiedzieć.

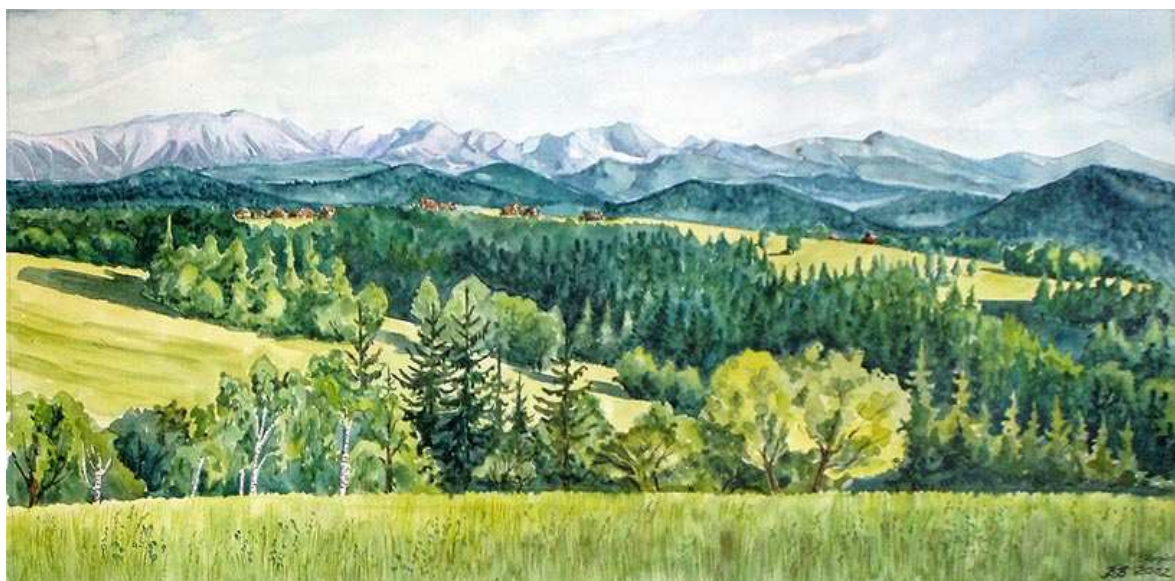
Po długiej i męczącej wędrówce chłopiec doszedł do wrót piekieł. Dotarł przed oblicze samego Lucypera i odebrał cyrograf. Przedtem jednak usłyszał, że jeżeli diabeł nie zwróci cyrografu, pójdzie na Madejowe łoże. Przypomniało mu to o obietnicy danej zbójowi i zapragnął je ujrzeć.

Łoże było z żelaznej kraty, najeżone brzytwami, sztyletami, nożami i hakami. Z dołu buchaj płomień ognia, a z góry kapą rozpалona siarka. W jednym końcu łoża wisiały klamry do podtrzymywania głowy ~ w drugim do skrępowania nóg. Kiedy po powrocie opowiedziało tym Madejowi, ten postanowił odbyć pokutę i zerwać ze zbójctwem.

Młodzieniec poprowadził rozbójnika na wzgórze między trzema jamami, gdzie były ukryte bogactwa Madeja. Wetknął w ziemię Madejową maczugę, kazał mu obok klęknąć i polecił codziennie schodzić na klęczkach do strumienia, nabierać wody w usta, a wodą tą podlewać zbrodnicze narzędzie. Po drodze rozdawać miał pieniądze ubogim. Jeżeli maczuga zakwitnie i wyda owoce to zbrodnie zostaną odpuszczone, a chłopiec kiedy zostanie kapłanem - udzieli mu rozgrzeszenia.

Madej zaczął wypełniać zadaną pokutę. Po 20 latach syn kupca został biskupem. Pewnego dnia przejeżdżał przez świętokrzyskie lasy. Poczł wspaniały aromat jabłek, polecił więc dworzanom przynieść kilka owoców. Dworzanie wrócili mówiąc, że znaleźli jabłko, ale nie daje ona zerwać żadnego jabłka. Obok drzewa zaś klęczy siwobrody starzec. Biskup przypomniał sobie przygodę z noclegiem i podążył pod jabłko. Zbój poprosił o przyręczone rozgrzeszenie. Rozpoczęła się spowiedź. Po każdej wyznanej zbrodni, owoce na jabłoni zmieniały się w białe gołębie i ulatywały do nieba. Gdy zbój wyjawil zamordowanie swojego ojca, ostatnie jabłko zniknęło z drzewa.

Gdy wreszcie otrzymał rozgrzeszenie. Jego ciało rozsypało się w proch. Po tym wydarzeniu zostało powiedzenie "madejowe łoże", na niewygodne łożka i nazwa jednej z grot w Górach Świętokrzyskich - Jaskini Zbójckiej w Łagowie.



Legenda Tatrzańska

O tym jak to Janosik przez piekło wędrował.

Zabili Janosika na liptowskiej ziemi. Trzy dni wisiał na haku, fajkę sobie kurzył, a gdy śmierć nadeszła, jeszcze jej zaśpiewał:

"Hej, idę w las, piórko mi się migoce, hej, idę w las, dudni ziemia, ka kroce..."

Ale nie w las wyruszyła dusza Janosika - jeno do piekła. Pewnie wolałaby do nieba, lecz Janosik honorny był zbójnik i ani myślał pchać się tam, gdzie go nie czekają.

- Zbójowałem całe życie, to mnie tam nie wezmą - mruknął do siebie i z pistolcami za pasem ruszył pod ziemię.

Od Liptowskiego Mikulusza droga była prosta. Wskazał mu ją diablik, mały, wystraszony, wyraźny respekt czujący przed sławnym zbójnikiem. Janosik maszerował rażno, prosto jak strzełił ku Tatrom, bo po drodze, koło Trzech Koron, była brama piekieł. Znalazł ją bez trudu i zakołatał. Zadudnił pięściami i nic. Cisza!

- Ki diasil! - zaklął. - Śpią czy co

I dalejże burzyć po furcie. A kiedy i to nie pomogło, podsadził się krzepko. Skrzywnęta zawora, zatrzeszczały dyle. Podsadził się raz, drugi, aż go zza bramy głos gniewny doleciał:

- Na rogi Belzebuba! A cóż to za hałas? Kto tam?

- Ja!

- Coś za jeden?

- Janosik! Zbójnicki hetman!

- Prawda to?

- A jakże - obruszył się zbójnik. - Otwieraj! - i grzmotnął niecierpliwie obuszkiem po odrzwiach.

Zaszwargotało, zachrobotąło coś w odpowiedzi i powoli, powoluśku rozwarły się piekielne podwoje. Ostrożnie wyrzała zza nich rogata łepetyna:

- Czego chcesz?

- A tego! - zagniewał się Janosik takim powitaniem i podsunął zaspanemu odźwiernemu obuszek pod ślepie.

- Puszczaj!

- Kiedy nie mogę - wił się diabeł - bez rozkazu nie mogę!

- Możesz czy nie możesz, wszystko jedno - huknął Janosik i nie bacząc na diabelski lament, postąpił naprzód.

Ledwo jednak przekroczył próg, nie wiadomo skąd wyrósł przed nim tuzin kosmatych strażników. Wyciągnęły się ku niemu szponiaste łapy, kłapnęły szczerbate paszcze. Poczuli, jak szarpia go za uchę, za włosy, za bary.

Zachwiał się zbójnik pod diabłą nawałą, ale powalić Janosika, ho, ho, nie udało się nawet carskim żandarmom. Siepnął się w lewo, w prawo i puścił w ruch obuszek jak w liptowskiej karczmie.

Zakłębiło się, zakurzyło w piekielnym przedsiönku. Jak świat światem jeszcze takiej bitki w piekle nie widziano. Aż żal było patrzeć na diabelski pomiot!. Żaden z napastników nie wyszedł bez szwanku. Starszy diabeł Smerda stracił cztery zęby. Rokita miał róg złamany, a pięć czarcich chwośców, nie licząc funta kłaków i starego kopyta, wymietli później spod bramy diabli posługacze.

Nie ma co, sromotną klęskę ponieśli piekielni strażnicy i pewnie by większego uszczerbku doznali, gdyby nie Infernus.

Ów diabeł znamienity drzemał nad księgami, znużony czytaniem wciąż tych samych grzechów, gdy dotarli do niego bitewne hałasy. Puściłby to mimo uszu, boć to nic dziwnego, słyszeć w piekle wrzawę i jęk potępieńców, ale że od lat tysiąca ślęczał nad księgami, postanowił przy okazji rozprostować kości. Podreptał więc do bramy i aż plasną w dłonie:

- Brawo! Znacomiecie! Brawo!

- A cóż to za lichy - zdumiał się Janosik, ujrzawszy przed sobą postać odzianą w powłóczystą suknię i czarny ogromniasty beret.

- Doktor Infernus - skłonił się uprzejmie nieznamy. - Nadworny poeta księcia Belzebuba. Ale nie mówmy o mnie. Oh! - tupnął nogą na czającego się w mroku Smerdę i jego kamratów. - Precz! Precz! Apage!

A kiedy pokiereszowana czereda czmychnęła na samo dno piekła, z wielką ciekawością zwrócił się ku zbójnikowi:

- Bravisimi, caro mio! Jak cię zowią zuchu?
- Janosik!
- Janosik? A z których to Jansików? - zachwycony Infernus aż wznosił się w powietrze, by lepiej się przyjrzeć postaci zbójnika.
- Od Tater! - nie stracił rezonu Janosik, oszołomiony uczonym wyglądem i składnością Infernusa.

- Od Tater! - zapiał uradowany poeta. - Znam! Czytałem. W diabelskim rejestrze cuda wypisano, lecz nie myślałem, że to wszystko prawda! A niechże cię! Czy to nie ty wywiodłeś w pole kirasjerów Tereski?

- Ja!

- I porąbałeś w gospodzie węgierskich hajduków?

- A jakże, sami tego chcieli!

- Niech mnie uwężdź w dymie - podskoczył Infernus, i nie wierząc własnym oczom uszczypnął się w ogon. - Napiszę o tym sonet! Co mówię? Poemat! A teraz chodźmy. Wstawię się za tobą u samego księcia Belzebuba, bo to pospólstwo spokoju ci nie da. Z drogi! - ryknął gniewnie na mamrotającego coś jeszcze diabła odźwiernego - nie widzisz głupcze z kim masz do czynienia?!

I powiódł zbójnika w piekielne czeluście. Dobrych parę lat ziemskich trwała ta wędrówka, ale w piekle czas liczą inaczej, zdawało się Janosikowi, iż to tylko chwila. Napatrzył się po drodze diabelskich bezeceństw i nieraz go chęć brała, by kogoś wygrzmocić. Zwłaszcza tych, co nad miarę krzywdzili grzeszników. Hamował go Infernus, sztuczkami odwodził, ale zbójnik nawet tu, w piekle obstawał przy swoim. Żał mu było biedaków i basta!

Gdzie się pojawili, strach padał na czarty, bo Janosik kłął po madziarsku i machał obuszkiem, aż podtuliwszy ogony chowały się z piskiem, dając chwilę wytchnienia swoim potępieńcom.

Wreszcie któregoś południa - a poznali to po zapachu wędzonki, na której w piekle warzy się kapuśniak, oczywiście z drucianych wiórów i starych sznurowadeł, by dręczyć nim pasibrzuchów i innych łakomców - znaleźli się w płonącej komnacie.

W świetle tysiąca ogni, na rozżarzonym do czerwoności tronie drzemał władca piekieł. Już od progu Infernus szastnął w dwornym rewersansie.

Witam cię, najmroczniejszy panie! Witaj piekiel ozdobo naj...

Potężne jak grzmot chrapanie zagłuszyło jego słowa.

- Witam cię - wrzasnął więc raz jeszcze, ale choć nie żałował gardła i tym razem odpowiedzią był tylko odgłos przypominający hurgotanie skalnych lawin. - Nie dacie rady, panie! - podrapał się w głowę zbójnik. - cosik mi się widzi, że śpią! Chyba, że...

- Co? - nadstawił ucha Infernus.

- ... że mu zaśpiewamy! Jeszcze się taki nie narodził, co by przy tym spał! - i nie czekając wyciągnął jak na hali:

"W murowanej piwnicy
tańcowali zbójnicy
kazali se piknie grać
i na nóżki spozirać.
Tańcowałbyk, kiebyk móg,
Kiebyk ni miół krzywyk nóg,
A ze krzywe nogo mom,
Co podscoce, to się gnom!"

Górska melodia zadzwoniła o ściany piekielnej komnaty. A była tak skoczna, że ani się postrzegł Infernus, jak z początku nieśmiało, a potem coraz głośniejszawótował zbójnikowi:

"Ej ty baco, baco nasz, tęgich chłopów na zbój masz..." i dalejże w tany. Zawiówała górska cucha, potoczył się w kąć beret diabelski. Nagle coś obok nich świsnęło i zaskrzeczało okrutnym głosem:

Do stu milionów diabłów! A cóż to za wrzawa! Hej, jest tam kto? Do mnie!

Na dźwięk tego głosu skulił się Infernus i porwawszy swój beret zamiótł nim podłogę.

- Witaj, najdostojniejszy panie! To ja, Infernus!

- Infernus? - zamrugał ślepiami Belzebub. - nie słyszałem!

- Ależ to twój nadworny poeta - pochylił się do ucha władcy szambelan Belial. - Autor nieśmiertelnego poematu na cześć twojego najwspanialszego, najdostojniejszego ogona!

- Ogona? Brawo, brawo! Nie czytałem! A ten drugi? - płomieniste spojrzenie Belzebuba omiotło postać Janosika.

- Janosik! Zbójnicki hetman - gibnął się w ukłonie zbójnik.

- Hej? - skrobnął się za uchem czart nad czartami. - zbójnik? Czy to ten, co w piekle brewerie wyczynia? Kto go tutaj wpuścił?

- A nikt! - wziął się pod boki zbójnik. - sam przyszedłem. Zbójowałem całe życie, to gdzie miałem iść?!

- Zabijał, rabował, palił! Tom wszystko prawda, najmroczniejszy panie - zasyczał u boku władcy Belial.

- Ho, ho! Zbójnik z niego siarczysty - poświadczył drżącym falsetem Infernus. - A jak porąbał Smerdę, to znaczy ...pardon! chciałem powiedzieć węgierskich hajduków! O tu! Wszystko

zapisane! - i podsunął pod nos księcia piekiel pogryzmołoną, grubą księgę.

- Ale to wszystko czynił w obronie biedaków. Dlatego nie do was należy! - głos, który odezwał się, był cichy jak fletnia i tak łagodny, że zjeżyła się szczecina na diabelskich grzbietach.

- Co? Nie do nas - prychnął pianą z pyska Belzebub. - kto to powiedział? - i tak rąbnął berłem w kocioł wrzącej smoły, że mu chlupnęła na skudloną brodę.

- Ja - odparł z anielską słodyczą głos. - A teraz pójdź, zbójniku, za mną śmiało. Nie lękaj się piekielnej mocy!

- Ale pił, z dziewczkami się zmagiał! Potrząsał diabelską księgą zrozpaczony Infernus. - Tu wszystko jest!

- Pił za swoje. A to, że z dziewczkami, hmm! - westchnęło coś w powietrzu. - i to mu zostanie wkrótce przebaczone. Za ten chleb dawany sierotom, wdowom i bezdomnym uzyskałeś zbójniku, łaskę przebaczenia. Łzy, które otarłeś, zmyły twoje winy. Pójdź, pójdź za mną!

I ruszyli nie zatrzymywani przez nikogo. A kiedy odeszli, jeszcze długo w piekle srożył się Belzebub, przeklinając niezręczność diabelskich sługosów.

Najgorzej jednak bolał nad utratą swego kompana Infernus. Ponoć po dziś dzień snuje się smutny po piekle, układając strofy swego poematu. Usiłuje też sobie przypomnieć słowa i melodię owej wartkiej pieśni. Ale na próżno, nic mu nie wychodzi.

Legenda Beskidzka

O ZIEMNYCH DUCHACH Z TURBACZA

Szedł pewnego razu biedny chłop z Koniny do Nowego Targu. Łatwo się mówi: szedł, ale trudno się idzie, bo między Koniną a Nowym Targiem wznoszą się dwie góry: Mostownica i Turbacz, zwany przez górali Turbacem. Chłop znał jednak drogę, gdyż nie pierwszy raz szedł tędy do miasta. Dzień był jesienny, zimna mgła snuła się po górach i dusiła w gardle, a wiatr przenikał ubranie i mroził ciało. Na Mostownicy już z daleka ujrzał ognisko. Ucieszył się na ten widok: "Pewnie drwale rozpalili ogień, żeby się zagrzać - pomyślał. - Przysiadę się do nich, pogadam..." A gdy zorientował się, że to nie drwale, było już za późno na ucieczkę. Przy ogniu tłoczyło się stado wilków grzejących sobie łapy. W ciżbie zwierząt widniała postać wysokiego człowieka, z długą, zupełnie siwą brodą.

Widząc przerażenie chłopca starzec odezwał się dobrotliwie:

- Nie bój się. Jeżeli ci zimno i ty możesz się ogrzać.

Na znak dany przez brodacza wilki rozstąpiły się puszczając chłopca do ognia. Znalazł się w otoczeniu wilczych paszcz, mocnych łap i puszystych ogonów. Ostry zapach zwierząt wiercił w nosie.

"No - powiedział sobie chłop w duchu - gdyby się teraz na mnie rzuciły, nie zostawiłyby ani jednej kosteczki na pamiętkę."

Usiadł przezornie tuż przy starym człowieku, bo widział, że wilki odnoszą się do niego z szacunkiem.

- Dokąd to Bóg prowadzi? - zapytał chłopca starzec.

- Do miasta. Do Nowego Targu.

- A skądże ty? Z Niedźwiedzia?

- Nie. Ja z Koniny.

- Aha, z Koniny... Znam, znam... Więc powiadasz, że idziesz do Nowego Targu.

- Tak.

- A jak się zwiesz?

- Tomasz Misiura.

- Bogatyś?

- O, mój jegomościu - zawołał chłop - gdzie ja bogaty!... U nas nie ma bogaczy. Ziemia płonna, kamień na kamieniu, i mało jej. Dzieci głodne, obtargane... Ej, ciężko żyć...

- A chciałbyś ty być bogaty?

- Kto by nie chciał? - zaśmiał się chłop. - Ino że to niełatwa sprawa.

- Ale może być łatwa - powiedział brodacz.

- Ejże...

- Masz wielkie szczęście, żeś mnie spotkał. Nieczęsto się to ludziom zdarza. Znam ja takie miejsce, gdzie leżą pieniądze. Ino się pochylić a zbierać.
- Gadajcie zaraz, mój jegomościu, ka są te pieniądze? - niecierpliwł się chłop. - Kupię za nie przyodziewy w mieście, coby dzieciakom było w zimie ciepło. A babie buty i chustkę na głowę... I cukierków dla dziecnek... A jak zostanie, to i dla siebie kozuszek czerwona skórka wyszywany...

Na myśl o tych wspaniałościach aż się chłopu ciepło we wnętrzu zrobiło. Nawet przestał bać się wilków kłapiących paszczami i spoglądających na niego spođe łba.

A stary powiedział:

- Widzę, że dobry z ciebie człowiek, bo naprzód myślisz o dzieciach i żonie, a dopiero potem o sobie. Uważaj więc, co mówię: pójdziesz teraz przez Czolo Turbacza. Jest tam wielki kamień, a na nim wykute znaki...

- No, no...

- Staniesz przy tym kamieniu, twarzą ku północy, i zastukasz weń trzy razy, a potem znowu dwa razy. Jak się skała odemknie, wejdiesz do środka i pójdziesz prosto przed siebie. A dalej to już będziesz wiedział, co robić.

Podziękował chłop serdecznie staremu człowiekowi, a jako że się już ogrzał, poderwał się od ognia, aby czym prędzej iść na to Czolo Turbacza. W głowie mu się nie chciało pomieścić, że za chwilę będzie bogaczem. Ej, raty, przeraty!... Nakupi dzieciakom moc ładnych rzeczy. I kozik dla Antosia, żeby mógł z jaworowego drzewa foremki na ser wyrzynać, i kwiecistą chustkę dla Tereski, i buciki dla Hanki, żeby jej małe nóżki nie marzyły, gdy idzie paść kozę... I malowanego konisia dla najmłodszej Magdy. A dla żony spódnice i korale, i płótna na koszule... To się dopiero baba ucieszy!

Wilcze stado rozstało się i Misiura, ile sił w nogach, podążył przez las na bliskie już Czolo Turbacza. Znał dobrze ową skałę ze znakami, gdyż wiele razy obok niej przechodził w drodze do miasta. Gdy ją ujrzał, serce zabiło mu tak mocno, aż rękę do piersi przyłożył, żeby mu z niej nie wyskoczyło. Stał przy skale, obrócony twarzą ku północy, zastukał w pierw trzy, a po chwili dwa razy - skała rozstała się i chłop wszedł śmiało w ciemny korytarz. Szedł nim długo, aż dotarł do podziemnego strumienia, nad którym przerzucona była kładka. Na drugim brzegu strumienia korytarz rozszerzał się i zamieniał w grotę rozjaśnioną blaskiem złotych pieniędzy, leżących kopkami, jak kamienie przygotowane do naprawy drogi. Nabrał ich tyle, ile się mogło zmieścić do kieszeni i kapelusza. Obładowany złotem, wrócił tą samą drogą i znów się znalazł na hali. Skała zamknęła się za nim tak, że nie było nawet najmniejszego śladu z niedawnej szczeliny. Uradowany, jakby go kto na sto koni wsadził, pognął chłopina do Nowego Targu. Teraz szedł w dół, więc iść było mu łatwo, chociaż dźwigał znaczny ciężar. Hej, ale sobie użył Tomasz Misiura na nowotarskim jarmarku! Nakupił tyle rzeczy, że w końcu musiał załadować je do worka. Nie zapomniał ani o żonie, ani o żadnym dziecku. A sobie kupił, co zamierzał: piękny kozuch, naszywany czerwona i zielona skórka, kapelusz z muszelkami i mosiężną fajeczkę.

Na ostatku wstąpił do karczmy, aby pogadać z ludźmi. Spotkał tu wielu znajomych z Niedźwiedzia, Poręby, Łopusznej, a nawet z Rabki.

Ugięty pod ciężarem worka, wracał tą samą drogą do Koniny. Była już ciemna noc, gdy przechodził obok skały na Czole Turbacza. Tajemniczy kamień jaśniał tak, jakby go kto od wnętrza oświetlał. Tuż obok niego roilo się od małych ludzików, podobnych do dzieci, ale bardzo dziwnie poubieranych. Ludziki miały na sobie obcisłe porteczki, a na głowach trójrożne czapki. Trzymając się za ręce, tańczyły kołem wśród mokrych traw i śpiewały dziecięcymi głoskami:

jedna portka cerwona,
druga portka zielona,
i copecka na głowie,
tańczujemy se, pankowie...

A gdy śpiewały, to czerwone narośla na ich gardziołkach nadymały się jak indyjskie korale.

Dreszcz zgrozy przeszedł Misiurę na widok igrających ludzików. To były ziemne duchy, które leżyły się na miejscach zwilżonych krwią ludzką. Wiedział o tym, że ich pojawienie się zwiastuje najgorsze klęski: gradobicia, susze, głód, wojny, choroby. Szybko skreślił popod las i przedierał się między drzewami ku Mostownicy. Biegło za nim ludzikowe śpiewanie:

Hosa, hosa! Hosa, hosa!
Bedzie zytko po pół grosa,
a psenicka po jednemu,
a nie będzie sprzedać komu...

Na mostownickiej polanie nie było już ogniska ani stada grzejących się wilków. Pozostały tylko liczne ślady łap, wyciśnięte na zawilgłym popiele. Misiura wziął się w lewo, zbiegł po kamienistej dróżce w dolinę Potasznicy i ścieżką nad potokiem zaszedł do chałupy. Nazajutrz od świtania zabrał się do uszczelnienia domu: szpary poutykał sieczką wymieszana z glina, w okna wprawił szyby kupione w

Mszanie Dolnej, popękany piec wylepił od środka, jak się patrzy, a zgniłe gonty na dachu zastąpił nowymi. Śpieszył się, żeby roboty zakończyć przed zimą.

Dobry był z niego człowiek, więc nie zwlekając ostrzegł wszystkich mieszkańców wsi o spodziewanych nieszczęściach. Jedni wierzyli, inni nie wierzyli. Na wszelki wypadek gromadzili w komorach, co tylko mogło im pomóc do przetrzymania ciężkich czasów; naprawiali chałupy, zwozili

drzewo z lasu, szyli ciepłą odzież, chociaż i tak niewiele im z tego przyszło, bo byli biedni, ziarna na chleb mieli mało, a ziemniaki przegniły, gdyż jesień była mokra i zimna.

I rzeczywiście - zwaliły się klęski na górską krainę. Naprzód przyszyły straszne śniegi, które zasypały całą wieś, aż po same dachy. Potem ścisnęły okrutne mrozy. Drzewa z tych mrozów pękały, a ptaki spadały z nieba całymi chmarami. Po trudnej do przetrzymania zimie nastąpiły roztopy, a z nimi choroby i głód. Kościelne dzwony nie przestawały jęczeć i zawodzić. Z wiosną za Tatarami wybuchła wojna, a obce wojska, przechodzące przez wieś, dały się jej mieszkańcom we znaki tak, że później na sam widok munduru cała ludność uciekała do lasu. Nastąpiło wreszcie lato. Zboża nawet nieźle obrodziły i chleba było dosyć, ale brakowało ludziom pieniędzy, bo nie było kupców na ziarno.

Sprawdziły się słowa ludzikowej piosenki:

...bedzie zytko po pół grosa,
a psenicka po jednemu,
a nie będzie sprzedać komu...

Misiura cały ten ciężki czas pomagał sąsiadom hojną ręką, wiedział bowiem, co to znaczy bieda, choroba i głód. Dziwili się ludzie, skąd u niego komora pełna, a poniektórzy nawet przypuszczali, że musiał znaleźć ukryty w ziemi skarb zbójnicki. Znajdowały się przecież gdzieś w górach przeróżne schowki, chociaż takich, którym się udało je odnaleźć, można było na palcach policzyć.

Długo też wspominali ludzie Misiurę, a kiedy umarł, opowiadano dzieciom, jak to pojawiły się kiedyś ziemne duchy i jak Misiura uratował ludzi od głodowej śmierci.

Dawne to jednak dzieje i zapewne nic nie wiedzielibyśmy o Misiurze, gdyby nie gorczański wiatr, przelatujący swobodnie od szczytu do szczytu, zawsze chętny do rozmowy, wesoły i rozbrykany. Opowiedział nam tę historię, gdy leżeliśmy na hali turbackiej, podziwiając piętrzące się nad górami obłoki.



Legenda Sudecka	na podstawie opowiadania Romany Chimowicz-Majewskiej pt. "Tajemnica Błędných Skał" zamieszczonego w "Baśniach i legendach Turystycznej Szóstki"
Legenda Bieszczadzka	Tą piękną legendę opartą na kanwie autentycznych ludowych podań stworzył Marian Hess, bieszczadzki osadnik, etnograf i rzeźbiarz, pasjonujący się miejscowymi podaniami i zwyczajami.
Legenda Świętokrzyska	ze strony internetowej www.geografia1.w.interia.pl/Geo/legendy.htm
Legenda Tatrzańska	Andrzej Żak
Legenda Beskidzka	Stanisław Pagaczewski - "DIABELSKI KAMIEŃ" 1966r.